

MEANDRY POLITYKI - *Michał Stefański*

REFLEKSJE O SPRAWIEDLIWOŚCI

Żył sobie kiedyś w Warszawie lat trzydziestych niejaki Franciszek Fiszer, niespełniony pisarz, ale wciąż przedni myśliciel i prześmiewca z duszą satyryka, niepokonany wolny duch, bez kwestii należący do stołecznej bohemy - artysta w każdym calu - traktujący życie jak dzieło sztuki i oczekujący tego samego od innych. Takie optymistyczno-humorystyczne podejście drażniło ponuraków i wystawiało nierzadko naszego kawalarza na "ciosy i strzały bezlitosnego losu", jakby to ujął szekspirowski Hamlet. A Fiszer dalej szedł przez życie dziwiąc się temu co go otaczało i emanując na całą okolicę swoim nieco wisielczym humorem. Któregoś pięknego poranka roku 1937 lub 1938 w kawiarni na Nowym Świecie po zjedzeniu niedużego śniadania i przejrzeniu porannych gazet Franz Fiszer cisnął ostatnią z nich na stolik i wykrzyknął na cały lokal: "Nie będzie nigdy w Polsce dobrze, dopóki się nie rozstrzela 10 000 łajdaków!" Zapadła cisza. I wtedy gdzieś z przeciwległego końca lokalu ozwał się nieco jęklivy głos z zapytaniem: "A jak się tyłu nie znajdzie?" "TO SIĘ DOBIERZE Z UCZCIWYCH." - brzmiała natychmiastowa odpowiedź. Gdyby przy sąsiednim stoliku siedział inny kawalarz w typie np. Antoniego Słonimskiego mógłby na taką jawną prowokację zareagować pytaniem retorycznym: "A gdzie w tych czasach, można znaleźć uczciwego człowieka?" Ale nic takiego się nie stało. Zatem wiara, że gdzieś tam na horyzoncie da się jednak napotkać chodzący model uczciwości, pozostała niezachwiana.

A potem następne 10 lat wstrząsnęło światem, Europą, a chyba najbardziej Polską. W latach czterdziestych zmieniło się w kraju nieomal wszystko: granice, skład ludnościowy, ustrój polityczny, a także kościec moralny ocalałych z wojny zabieganych ludzi - czasem prześladowanych, a niekiedy także w roli prześladowców swoich rodaków. Wszyscy ci ludzie - nasze matki czy też dziadkowie - przechodzili kurs przyspieszony życia we wrogim świecie, w którym przypisywanie swoim bliźnim najgorszych cech stało się nawykiem tak normalnym, że prawie niezauważalnym. Wszelkiego rodzaju celebryci nowego świata kultury socjalistycznej, lecz także niektóre zawody utożsamiane z władzą jak sędziowie, prokuratorzy, a nawet adwokaci - byli traktowani jak zło konieczne. Stopniowo w latach 70-tych i 80-tych w społeczeństwie zaczęło pojawiać się jakieś takie zróżnicowane widzenie świata, a w tym i naszego starego kraju. W środku tego okresu "wybuchła" pierwsza, wielka "Solidarność."

Można by z pewną ironią powiedzieć, że zmiana ustroju w Polsce przyszła zbyt nagle, a świadomość konsekwencji tego faktu wyraźnie nie nadążała za zmianami zewnętrznymi (takimi jak: symbole, sojusze, paszporty, typ gospodarki, władza pieniądza itp). Dotychczasowe elity opozycyjne popełniły jeden - ale za to duży - grzech. O wiele większa była wśród nich ciekawość zagranicy, owego mitycznego Zachodu i jego problemów (jego książek i filmów), niż dowiedzenia się jak naprawdę żyje się rodakom mieszkającym tuż obok w sąsiednim domu i wstającym codziennie o 5 rano aby zdążyć na poranny pociąg do pracy. Mając tego typu podejście do rodaków, liberalnie zorientowane klasy rządzące (nieważne PO, SLD, AWS UW, PSL) szykowały sobie stopniowo klęskę, która ich dopadła po 12 - 15 latach. Jednakże nic nie stoi w miejscu. Obecna klasa rządząca także zapracowuje w pocie czoła na swoje medale, lecz także na swoje paragrafy - zawarte również w kodeksie karnym. Aktualnie, wielu obserwatorów sytuacji w starym kraju nie jest w stanie rozwiązać zagadki: co jest cechą dominującą rządów ekipy Prawa i Sprawiedliwości. Należy do nich publicysta centro-prawicowy Paweł Zaręba, który w ostatnim numerze Gazety Prawnej skarży się, iż nie ma jasności w tym temacie, zatem pyta wprost: "Czy PiS-owi chodzi o rewolucję, czy o spokojną konsolidację zdobytej przecież legalnie władzy?"

Nawet jeśli w środę rano 4 lipca uda się pokonać opór (nie bójmy się tego słowa,) ELITY sędziowskiej z Sądu Najwyższego, to wielu nazwie ów dzień "pyrrusowym zwycięstwem" rządu. I bardzo słusznie, albowiem szkody społeczne wyrządzone takim przeciąganiem liny oraz huśtawką propagandową będą się ciągnąć latami. Już teraz, pewien polski kryminalista siedzący w irlandzkim areszcie, niejaki Artur C. oświadcza tamtejszym sędziom śledczym, że nie życzy sobie ekstradycji do Polski, bo tam - jak twierdzi - wyrok na niego jest już ustalony. Twierdzi on, że w jego kraju rodzinnym nie ma szans na uczciwą obronę. Ilu jeszcze takich złodziejasków, włamywaczy i bandytów narodowości polskiej zalegających w więzieniach od Hiszpanii do Szwecji zastosuje taką taktykę? Tego nie wiemy. Podobnie jak nie wiemy jak szybko ten, (czy może następny) rząd RP przywróci normalne warunki funkcjonowania sądów. Co innego skazać tuzin sędziów za prowadzenie samochodu po pijanemu, tak jak w prowincji Quebec. Co innego wysłać sędziego kradnącego spodnie do zakładu psychiatrycznego. Tak było w Polsce. Ale to są jednostki. Tymczasem 20 tysiącom nowych młodych polskich absolwentów prawa grozi demoralizacja. Czy będą oni pracować w kraju, w którym w niektórych sprawach posłusznie będzie się wydawać wyroki na telefon, ulegać interwencjom towarzyszy partyjnych, czy ułaskawiać ludzi jeszcze nie skazanych? Miejmy nadzieję, że jednak nie. No i do tego wszystkiego jeszcze ta absurdalna "krew na rękach" (podobno u sędziów) w ostatnim przemówieniu premiera. Odpowiem tak: Nie te czasy, nie ci ludzie. A w ogóle - jak przesadzać to tylko w Warszawie. (audycji możesz wysłuchać tutaj)